

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.

W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.

W W. Ka. Poznańskiem: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.

W Galicyi: Rocznie zlr. 12.—Półrocznie zlr. 6.

PISMO TYGODNIOWE, SPÓŁECZNO-LITERACKIE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.

Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.

Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Swiat Nr. 4.

ZASADOWICZE.

ALBUM SZKICÓW ODREČZNYCH

skreślonych

przez W. St. Orczyca.

IV.

Lawiranci.

W przypisku do szkicu poprzedniego, nadmieniałem, że między luzakami-żydami znajdują się i nie-żydzi, przyrzekając przedstawić ich później, pod nazwą lawirantów. Otóż, wywiązując się z danego przyrzeczenia, przystępuję do charakterystyki tego rodzaju zasadowiczów.

— Cóż to, więc, jest za gatunek, owi lawiranci i co oni robią między luzakami?

Co robią? ot... jakby to określić?... Ano, robią tam to samo, co i między entuzyastami, taranistami i w ogóle między zasadowiczami wszelkich barw i odcieni, czyli...

— To samo pewnie co i luzacy...

O, nie. Gdyby bowiem tak było, nie potrzebowałbym zajmować się nimi oddzielnie.

Nie tak to jednak łatwo ich określić, jak ci się może zdaje, czytelniku szanowny. Wyraźnie określić można tylko rzeczy albo osoby — wyraźne, a lawirant nie należy do tej kategorii. Już, już, zdaje ci się, uchwyciłeś w nim jakiś rys wybitniejszy i zaczynasz na tej podstawie wnioskować o całości, po chwili jednak przekonywasz się, żeś był w błędzie, bo oto ni ztąd ni zowąd, zaszła w nim zmiana, obalająca twe wnioski, z kretesem. Zaczynasz obserwację po raz drugi — znowu to samo; próbujesz raz trzeci, dziesiąty; za każdym razem znajdziesz go innym...

Wczoraj przedstawił ci się jako postępowiec, dziś pozuje na zachowawcę; jeżeli jest publicystą to z nazwiskiem jego spotkasz się zarówno w liberalno-bezwyznaniowych, jak i w zachowawczo-katolickich organach; tu broni pewnej „sprawy“, tam własną zbija obronę; tu buduje, tam burzy...

Jedno wykręcenie się na pięcie wystarczy mu na przybranie charakteru całkiem przeciwnego temu, jaki przed chwilą zdawał się być przyrodzoną jego własnością.

Przysłowie mówi, że „ile głów tyle zdań“; — lawirant stanowi wyjątek od tej reguły. W jego głowie wszystkie zdania się mieszczą i wszystkie w równej u niego są cenie.

Kto patrzy nań zdaleka, może mniemać że widzi posąg

wykończony i harmonijny, — zbliżywszy się, spostrzeże... masę gliny, która pod ręką modelatora może przybierać kształty przeróżne.

Zaliczasz więc takiego jegomościa, kolejno, do wszystkich rodzajów zasadowiczów, w rezultacie jednak spostrzeżasz, że mógłby on znajdować się w każdym rodzaju, ale do żadnego nie będzie pasował jak należy.

Przystępując do taranisty, entuzyasty, nawet do luzaka i posiadając dar szybkiego kombinowania swych spostrzeżeń, można wiedzieć odrazu czem każdy z nich jest i dokąd zdąży. Nie dzieląc zasad wyznawanych przez onych zasadowiczów i nie chcąc narażać się na niebezpieczeństwo werbunku do ich obozu, łatwo uniknąć spotkania się z nimi, bo zdaleka poznasz kto nadchodzi. Inna rzecz z lawirantami, — tych uniknąć nie ma sposobu. Wszędzie ich pełno, a pomimo to nigdzie na pierwszy rzut oka poznać się nie dają.

Jak luzacy do entuzyastów, tak znów lawiranci do luzaków zdają się być podobni, wielu też nie odróżnia jednych od drugich, dodając im jeszcze lekkoduchów do kompanii. I rzeczywiście, pozornie, trzy te rodzaje to niby jeden, po bliższem jednakże przypatrzeniu, uważny spostrzegacz znajdzie między nimi, dość subtelne wprawdzie, ale charakterystyczne różnice.

Pominawszy, na teraz, lekkoduchów, postawmy obok siebie luzaka i lawiranta. Prawda że obaj z równie lekkim sercem umieją brać na się i zrzucać różnozasadowe przyodziewki, ale każdy czyni to z innych pobudek i w sposób inny.

Luzak, przerzucając się z pod jednego znaku pod drugi czyni to z celem — jak już rzekłem w szkicu poprzednim — nie obrony zasad jakie znaki te wyrażają, lecz dla odwrócenia uwagi na s z e g o ogółu od ciemnych i fanatycznych rzesz Chaimów, Berków i Todrosów, czyli z celem dania w ten sposób swo im możliwości — rozwoju. Lawirant, czyniąc podobnie, kieruje się zmysłem praktycznej — przezorności. Niby to należy on formalnie do jakiegoś stronnictwa, kierunku czy obozu, istotnie przecież nie należy nigdzie, ale mimo to, albo raczej dlatego właśnie, względem stronnictw, kierunków i obozów wszelakich zachowuje się z przykłądną tolerancją, parlamentaryzmem a nawet i uznaniem.

Lud nasz utrzymuje że „pokorne ciele dwie matki ssie“ — pokora lawirantów tysiąc matek ssac im pozwala.

W przeciwstawieniu do typu luzaka, lawirant nie ma w twarzy i postawie wyzywającej buty, a na ustach lekceważąco-ironicznego uśmiechu; przeciwnie, miękkość w ruchu a słodycz w spojrzeniu, mowie, uścisku są jego znamionami.

Przezorność o jakiej wspominałem powyżej ściera zeń wszelką indywidualność: wkłada mu w usta takie opinie, jakie

albo są w danem kółku panującymi, albo w danej chwili modnemi i popłatnemi.

Dzięki powyższym właściwościom, ma on nader rozległe stosunki i uchodzi za człowieka bardzo dobrze wychowanego. Najchętniej jednakże obcuja z nim ludzie lubiący pławić się w falach pochlebstwa i upajać wonią kadzidel... Gdzie więc tylko znajduje się taki amator tanich hołdów, tam i lawiranci się znajdują.

Koniecznym wszakże warunkiem okadzania jest „wpływowość“ chcących być okadzaniymi... Oni dają lawirantom swe „wpływy“, a lawiranci wzamian niosą wpływodawcom poklask i czolobitność.

Jest to więc znakomicie uorganizowany handel za mienny, na którym obie strony handlujące zarabiają jednakowo: Gdyby bowiem nie lawiranci, wielu z dzisiejszych, zwłaszcza kieszeniowych, olbrzymów nie używałoby sławy „filantropów“, „dobroczynców“ i nie ścigało od poczciwego naszego ogółu olbrzymich za swą „obywatelskość“ procentów; a gdyby znów nie owe olbrzymy, lawiranci, zamiast tuczyć oię łatwym synekur chlebem, musieliby wydelikacowane rączki przyłożyć do pracy rzeczywistej, coby naturalnie odebrało im możność życia na cudzym koszcie, a społeczeństwu przysporzyło jednostek produkcyjnych i wyraźnych.

Powszechnie już dzisiaj wiadomą jest rzeczą, iż takie „wpływowe“ bożyszcza lawirantów są, w olbrzymiej większości, małąkimi, pod względem moralnym, zerami, nie zasługującymi nietylko na hołdy, ale nawet na szacunek — nic to; lawirant na podobne głupstwa nie zważa; próżność, pragnienie jak najwyższego użycia przy możliwie najmniejszym nakładzie pracy, chęć znajdowania się zawsze wyżej niż pozwalają na to posiadane talenta i środki, silniejszemi są u niego od „przekonań“, z jakimi się manifestuje.

Zaprawdę, słusznie ktoś powiedział iż są ludzie gorsi i od swoich zasad.

Ale to jeszcze nie wszystko. Gdybyż lawirowanie pewnych zasadowiczów ograniczało się na prywatnym tylko serwilizmie względem „wpływowych“ potęg dzisiejszego świata!... Niestety, serwilizm ów, jak widzimy, nader wybitnym jest i w działalności ich publicznej. Piękna w gruncie i szlachetna zasada: „ręka rękę myje, noga nogę wspiera“, użyta przez nich za punkt wyjścia dla celów osobistych tam, gdzie dobro ogółu się waży, to summa zasług publicznych rodzaju lawirantów. Warto o tem pomówić obszerniej.

(Dokończenie szkicu nastąpi).

„NARWAŃCY“

POWIEŚĆ

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Przed nim spoczywała masa ciała, mogąca należeć równie dobrze do rzeźnika, restauratora, lub handlarza nierogacizny. Nie było w tej nalanej twarzy ani jednego rysu szlachetniejszego. Tylko z małych, w nabrzmiących powiekach pływających oczu, tryskał sprycik.

Ale Bolesław spojrział z szacunkiem na tę niekształtną bryłę, osadzoną na krótkich nóżkach. Był to przecież człowiek publiczny, dziennikarz, może jaki autor głośnego imienia, w każdym razie rycerz pióra, które jest powolnem narzędziem natchnionej myśli. Był to niezawodnie jeden z drogowskazów społeczeństwa, kiedy jeździł bezpłatnie kolejami i miał prawo nazywać się „współpracownikiem czasopism“.

Bolesław marzył o tym tytule, jak o najwyższej godności. A ten szczęśliwiec posiadał go już i mógł się nim chlępić...

Listy z Galicyi.

XXII.

Dnia 15 Lutego 1888 r.

Nikt, kto u nas nie mieszka, nie dałby wiary, jaka straszna panuje tu stagnacya we wszystkich interesach. Kupcy łamią ręce, bo do ich magazynów nikt nie wstępuje, wielcy przedsiębiorcy czekają Bożego zmiłowania, rolnicy płaczą, że ani zboże, ani bydło nie ma ceny. Przyszło nakoniec do tego, że listy zastawne Towarzystwa kredytowego ziemskiego, papiery najpewniejsze, które jeszcze do niedawna stały powyżej pari, nietylko znacznie spadły, ale co nierównie gorsze, nie mogą znaleźć nawet i kupca; to też coraz częściej się zdarza, że ktoś pożyczkę podniósłszy, zostaje bez pieniędzy, gdyż listów nigdzie zbyć nie może. Takiej stagnacyi jeszcześmy nie mieli w Galicyi.

Jak to długo potrwa, Bóg wie jeden.

Wojny krwawej nie będzie, za to jeden z najmłodszych członków wiedeńskiej Rady państwa, p. Stanisław Szczepanowski, wydał wojnę „nędzy galicyjskiej“ gdyż pod tym tytułem ogłosił sporą książkę, w której cyframi udowodnia, że pod słońcem nie ma kraju nędzniejszego niż nasza prowincya. W chwili obecnej czytają jego pracę wszyscy z wielkiem zajęciem, a chociaż autorowi wielu zalet nie można odmówić, trudno jednak nie wyznać, że w kilku miejscach zapatruje on się na nasze stosunki społeczne zbyt optymistycznie. I tak, mówiąc o żydach utrzymuje, że licznych tych przybyszów należy wchłonąć w nasz organizm, ponieważ sprawy żydowskiej inaczej nie rozwiążemy.

Mnie się zdaje, że społeczeństwo polskie stara się o to od sześciuset lat, społeczeństwa zaś wschodnie, między którymi żydzi znajdowali się jeszcze przed Chrystusem, od dwóch i trzech tysięcy lat, a mimo to dotąd im się to nie udało. Wątpimy więc by i taktyka p. Sz. nazywająca się zupełnem uprawnieniem, mogła do tego rezultatu doprowadzić, skoro nie osiągnęli go nawet francuzi, czego najlepszym dowodem książka Drumonta.

Autor, dla poparcia swego twierdzenia, iż żyd może się całkiem wynarodowić, przytacza dwa nazwiska: poetę niemieckiego Boerne'a i Juliana Klaczkę. Jeżeli nie mógł znaleźć więcej dowodów, to tym dwóm przeciwstawimy 5 milionów żydów mieszkających w Niemczech i w prowincjach polskich, z których żaden nie chce być ani Niemcem ani Polakiem. Z tabel statystycznych dowiadujemy się, że niezawisły stan średni w Galicyi ma rocznego dochodu 76, z czego na samych żydów przypada 60 milionów. Nie jest że to straszny dowód ich przewagi nad całą warstwą pracującą?

Ból nasz jest jeszcze większy, gdy w innym miejscu autor cyframi udowodnia, że cała własność większa w Ga-

— Pan dobrodziej jeździł zapewne w sprawach publicznych?—odezwał się szlachcic, przysuwając się do dziennikarza.

— Tym razem jeździłem zagranicę dla własnej przyjemności—odpowiedział „współpracownik“. Byłem trochę zmęczony potrzebowałem odpoczynku.

— Nic dziwnego, panowie tak dużo pracują, mają tyle na głowie. Panowie myślą za cały kraj, za nas wszystkich.

— Bez wątpienia—mówił dziennikarz, układając czoło w fałdy poważne. Wytwarzamy dla całego kraju pokarm duchowy, a praca umysłowa wyniszcza niesłychanie.

— Zapewne, zapewne.

Szlachcic schylał głowę potakująco.

— A cóż tam de politicis, czy nie będzie wojenki? — zapytał wyciągając szyję ciekawie. — Bo to panowie zawsze wszystko lepiej wiedzą od nas.

— Jak na teraz, to zdaje się, że obędzie się bez pukawiny, ale niezadługo ruszą na pewno w pole.

— Eh, co też pan dobrodziej mówi. I to na prawdę?

— O ile sądzić można z konstelacyj politycznych, z gry gabinetów europejskich, z półsłówek prasy półurzędowej i tym podobnych wskazówek, których znaczenie my tylko rozumiemy, zdaje się że musi przyjść do krwawego starcia. Czy pan dobrodziej nie zauważył co robi Bismark? Już on znów coś nowego gotuje, ho, ho, znamy się na tem.

licy ma czystego dochodu rocznie ledwie 10 milionów guldenów, sami zaś propinatorowie, a są to żydzi, zarabiają na rok także 10 milionów. Czy na tę wiadomość każdy się nie wzdrygnie? Ale chociaż pan Szczepanowski tak delikatnie z żydami się obchodzi, jednakowoż w głębi serca nie musi on mieć zbyt dobrego o nich wyobrażenia, skoro nie dwuznacznie daje do zrozumienia, że nim asymilacja stanie się faktem spełnionym, społeczeństwo powinno się od nich bronić wszelkimi godziwymi sposobami, a dzać się to będzie wtedy, gdy sądy galicyjskie będą sumiennie pełniły swoje obowiązki, a kraj zacznie takie zaprowadzać ustawy, które położą tamę wyzyskowi ludności chrześcijańskiej przez czerń żydowską. Do takich, zdaniem autora, należą zaprowadzone już ustawy przeciw lichwie i pijaństwu. Doskonale! My sami także niczego więcej nie pragniemy, bo ani myślimy żydów gremialnie wypędzać. My chcemy ich wpływ szkodliwy ograniczyć, co gdy nastąpi, oni sami wyniosą się z naszego społeczeństwa.

Warto tu jeszcze nadmienić, że według zdania pana Szczepanowskiego, żydzi głównie dla tego nie są dla nas tak niebezpieczni, jak to się niejednemu zdaje, że nie mają w sobie ducha wielkiej przedsiębiorczości i nie umieją intensywnie pracować. Posiadają tylko jedną cnotę ekonomiczną, oszczędność, która atoli nie może im nigdzie zapewnić stałej przewagi.

Mimo tych niedostatków, książka p. t. „Nędza Galicyi w cyfrach“ ma wartość niepospolicitą, ponieważ autor rzuca w niej pełnemi garściami zdrowe uwagi, trafne rady i dowody naszych oplakanych stosunków ekonomicznych, za czem także idzie upadek ducha i charakterów. Piszący te słowa, spoglądał nieraz z politowaniem na robotnika galicyjskiego, który robi tak nędznie, że człowieka aż oburzenie ogarnia, i chociaż dat statystycznych nie zbierał, jednakowoż zawsze mu się zdawało, że w stosunku do produktywności swojej pracy, robotnik tutejszy nie jest gorzej płatny niż francuzki lub angielski.

Teraz dowiaduję się z książki pana Sz. że w rzeczy samej tak jest. Angielski przedsiębiorca Brassey, który lat temu 20 budował ze Lwowa kolej do Czerniowca obliczył dokładnie, że chociaż robotnik galicyjski brał ledwie piątą część zapłaty robotnika angielskiego tej samej kategorii, mimo to wynagrodzenie było sprawiedliwe, ponieważ wydajność jego pracy zostawała w takim samym stosunku, mianowicie jak 1:5. Na to, że nasz wieśniak tak źle robi, składa się wiele okoliczności, najgłówniejszą jest jednak liche i niedostateczne pożywienie.

Chłop irlandzki, uważany dotąd za najbiedniejszego pod słońcem, je przynajmniej rano, w południe i wieczór ziemniaki z maślanką, nasz przeciwnie je te same ziemniaki, ale bez maślanki. Omasty odmawia on sobie przez cały rok, a jedynem jego pożywieniem są: barszcz, kapusta i ziemniaki. Ponieważ tak nędznie się żywi, więc za to musi używać więcej alkoholu, niż każdy inny chłop europejski.

Wywiedzie on w pole wszystkich, ale nie nas, starych wróblów. My słyszymy, jak trawa rośnie i umiemy czytać między wierszami. A wystąpienia austriackiego ministra wojny, a głosy prasy włoskiej i francuzkiej, a ruchy karlistów w Hiszpanii, a odezwy socjalistów belgijskich, — wszystko to nie wróży nic dobrego.

— Prawda, prawda, jak to panowie umieją kombinować — mówił szlachcic, patrząc z podziwem na dziennikarza.

— To przecież nasz fach, panie dobrodzieju. My robimy opinię publiczną, z nami muszą się liczyć wszyscy.

A cóż pan dobrodzieju myśli? Czy pójdą ceny zboża w górę? — pytał szlachcic.

Dziennikarz, nie namysławiając się wcale, przerzucił się natychmiast do spraw ekonomicznych.

— Jakoś się na to nie zanosz — mówił. — Ameryka przysłała nam coraz więcej swego zboża, a rynek wschodni usuwa się coraz dalej od nas.

W ten sposób rozmawiali aż do Pniewa. Dziennikarz odpowiadał na wszystkie pytania wieśniaka szybko i rozstrzygał wszystkie sprawy stanowczo. Czegokolwiek szlachcic dotknął, wiedział „współpracownik czasopism“ i poruszał się na każdym polu swobodnie.

W Pniewie wysiadł szlachcic, podziękowawszy dziennikarzowi za „nadmierzony przyjemny“ towarzystwo. W wagonie został Bolesław ze swoim przyszłym kolegą.

Po zestawieniu kilku tablic statystycznych, autor dochodzi do tej nader smutnej konkluzji, że nasz wieśniak pracuje za pół, a je za ćwierć człowieka. W skutek złego odżywienia jest u nas także większa śmiertelność niż gdziekolwiek indziej, i autor nie waha się nawet powiedzieć że z głodu umiera rok rocznie w Galicyi 50,000 ludzi.

P. Szczepanowski widzi ratunek kraju tylko w gospodarstwie nakładowem en gros, zupełnie takim, jakie od lat 20 Węgrzy prowadzą, a które u nich rentuje się znakomicie, ponieważ kraj jeszcze niedawno biedny, jest już dziś kwitnący. Inicytywę do tego musiałby dać Sejm galicyjski, ponieważ przedsiębiorcy prywatni dopiero wtedy odważyliby się u nas zaangażować swoje kapitały, gdyby wiedzieli, że otrzymają od kraju nie tylko moralną lecz i materialną pomoc. Wtedy dzwignie się rolnictwo, gospodarstwa bowiem zaczęły się robić coraz intensywniejsze, powstaną fabryki produkujące przynajmniej takie rzeczy, które w Galicyi mogą znaleźć łatwych odbiorców, nareszcie i handel zrobi się więcej normalnym i dla ogółu korzystniejszym niż nim jest w chwili obecnej. Autor sądzi, że te wszystkie rzeczy dadzą się urzeczywistnić w ramach naszej autonomii.

P. Szczepanowski należy do tego zastępu młodych reprezentantów kraju, którym się zdaje, że dotychczasowa polityka nasza, błędnie chodziła drogami. Delegacja polska kołatała wciąż w Wiedniu prosząc o chleb powszedni, ale że monarchia sama jest biedna, więc też niewiele mogła od niej uzyskać; posłowie młodzi są natomiast zdania, że z Wiedniem należy tylko dobre stosunki utrzymywać, apelować zaś powinniśmy do samopomocy, bo tylko wzorowe gospodarstwo domowe może nas na nogi postawić. Ponieważ książka p. Szczepanowskiego zawiera w sobie program takiego gospodarstwa, więc trzeba ją poczytywać za pierwszy strzał na linii bojowej, na której już niezadługo będziemy widzieli: z jednej strony gwardyę starą, broniącą stanowisk dawniejszych, z drugiej szermierzy młodych idących śmiało do ataku w zamiarze zdobycia podziurawionych okopów.

Dobra Zakopańskie zostały sprzedane zaraz na pierwszym terminie licytacyjnym, czego się nikt nie spodziewał, bo były stosunkowo dość wysoko oszacowane. Szczęśliwym nabywcą jest jeden z naszych najserdeczniejszych, niejaki Goldfinger, który oddawna ma w Zakopanem fabrykę nafty drzewnej, potrzebnej do wyrabiania papieru. Ani z ramienia Wydziału krajowego, ani w zastępstwie Towarzystwa tatrzańskiego, nikt się na licytacji nie zjawił. Goldfinger dorzucił tylko 2 guldeny do ceny szacunkowej i kupił Zakopane. I niech kto teraz mówi, że książka p. Szczepanowskiego nie jest na czasie. Na każdym kroku widzimy obojętność, która nas gubi.

Rolarz.

Z wielką uwagą słuchał Bolesław słów „współpracownika czasopism“. Zrazu zdumiewała go rozległa wiedza dziennikarza, wkrótce jednak ochłonął z zachwytu i zaczął dziwić się płytkości jego poglądów. Ten człowiek wydawał z siebie same ogólniki, przeplatając je wykrzyknikami.

Dziennikarz, rozpuściwszy raz język, nie miał widocznie ochoty do milczenia, bo zwrócił się do Bolesława z zapytaniem:

— Pan dobrodzieju zapewne do Warszawy?

— Tak, panie, do Warszawy.

— Warszawka zaczyna się teraz ożywiać. Można się w niej zimą zabawić.

— Nie w celu zabawy udaję się do Warszawy; jadę tam na stały pobyt.

— Paskudna to dziura na dłuższy czas, brudna i nudna.

— Kto chce pracować, ten nie dba o czystość ulic.

— Jeszcze gorzej, mój panie. Ciężkie dziś czasy; o robotę coraz trudniej.

— Mam nadzieję, że znajdzie się dla mnie w prasie warszawskiej jaki skromny kącik.

Dziennikarz spojrział zdziwiony na Bolesława.

— W pra...sie... warszaws...kiej? — mówił przeciągle.

— Tak, panie!

— Ależ nas tam tak dużo, że pozeramy się nawzajem.

Wszystkie miejsca są obsadzone, rozpychamy się łokciami,

FRANCYA ŻYDZIAŁA.

STUDYUM Z HISTORII WSPÓŁCZESNEJ

przez Edwarda Drumont.

Tom II.

Paryż żydowski i społeczeństwo francuskie.

(Dalszy ciąg.)

Katolicy pozbawieni współczucia dla swoich, zdają się wszystkie swoje fawory zachowywać dla tych, co Chrystusa włóczą po błocie. Wszyscy znają nazwisko przemysłowca, o którym O. Ludwik mówi w dziele: „Stowarzyszenie chrześcijańskie ludzi uczciwych na gruncie interesów“. Zakonnik nie chciał go wymienić, naprzód przez miłosierdzie chrześcijańskie, a potem z obawy, żeby całe przedmieście S-go Germana nie zwróciło się ku niemu. Jak ten kapucyn zna Paryż dzisiejszy!

„Przemysłowiec o którym mówię—pisze O. Ludwik — osmielił się wydrukować słowa następujące:

„Kościół katolicki nagradzał w ogólności kanonizacją zbrodnie główne, szaleństwa i wybryki, których halucynacy i nędznicy dopuścili się na jego korzyść, w ciągu ośmnastu wieków organizacji jego potęgi materialnej.

„Ostatecznie, na długim spisie świętych, ludzie uczciwi są wyjątkami.

„Fałszywy Bóg, indywidualum z wielką brodą, jest fetyszem, w imieniu którego despoti klerykałni i polityczni tego padołu ziemskiego rządzą massami.“

Gruby tom w 8-ce, o 536 stronnicach, cały jest wypełniony podobnemi bluźnierstwami przeciw Bogu, przeciw Jezusowi Chrystusowi, Matce Najświętszej i Świętym. Składa on się z nikczemnych potwarzy przeciw Kościołowi, duchowieństwu świeckiemu i zakonnemu i przeciw chrześcianom w ogóle. Powiada naprzykład, że wyraz kretyn, *cretin*, pochodzi od Chrystyn czyli chrześcianin, i że istotnie tylko kretyni mogą być chrześcianami. Są w tej książce pełne jadu podburzania rządu rzeczypospolitej, popychające go do prześladowania Kościoła katolickiego.

I ten przemysłowiec nie miał klientów wierniejszych i bardziej oddanych jego interesom, nad pewnych wysoko położonych katolików, przywódców rojalistów.

Wielkie damy, bardzo pobożne, polecały wszędzie i polecają jeszcze tego bezbożnika.

Przystępują do Komunii codziennie, a przyjąwszy w serce Boga w Najświętszym Sakramencie i przyrzekłszy mu służyć, tego samego dnia wzywają tego obmierzłego ateusza, obsypują go zaszczytami i robią u niego zamówienia, które grubo płacą.

nawet zdolniejszym brakie już chleba. Przepraszam pana, ale z kim mam przyjemność?

— Jestem Bolesław Orlikowski.

— Pan Orlikowski? Nie czytałem nigdzie pańskiego nazwiska.

— Nie wiele dotąd pisałem, a co mojego drukowano, szło bez nazwiska.

— A w którym piśmie drukowano pana, jeśli wolno zapytać?

— Posyłałem różne drobiazgi do „Gwiazdy“.

Dziennikarz skrzywił się pogardliwie.

— To brudny świstek, chwytający prenumeratorów na paszkwile i skandaliki.

— Umieściłem także kilka artykułów we „Wiążance“.

— To spekulacja, zwyczajny sklep bibuły.

— Proszono mnie jeszcze o korespondencje do „Pochodni“.

— „Pochodnia“ zostaje na żołądźce bankierów, którzy potrzebują organu do popierania swoich osobistych interesów. A któż pana powołał do Warszawy? Czy posiada pan tam jakie stosunki, jakie znajomości.

— Wydawca „Gwiazdy“ zachęcał mnie do dalszej pracy.

— On zachęca każdego do roboty, ten lotr, ten wyzyskiwacz. Ta wstrętna pijawka wyssała już kilkadziesiąt

Oto, do czego prowadzi niewiomość, gdyż niewiomość jedynie tłumaczy te potworności. Gdy objawiłem niektórym z tych katolików, co robi ów przemysłowiec z ich pieniędzmi, odpowiedzieli wszyscy: „Nie wiedziałem o tem“.

A więc dobrze: nie wiedzieliście; ale czy mieliście prawo nie wiedzieć o tem? A ponieważ podobne fakta powtarzają się codziennie i wszędzie po naszych miastach francuzkich, czyż mamy prawo pozostawać dłużej w niewiomości, co są warci, pod względem moralnym i religijnym, rozmaici dostawcy, z bogacającą się naszymi pieniędzmi?

Niewiomość, jak słusznie mówi O. Ludwik, jest jedyną wymówką, którą mogliby się usprawiedliwiać chrześcianie tak dziwnie zorganizowani, że nie troszczą się nigdy o tych co wyznają tę samą wiarę co oni, a z bogacającą tych, co są ich najśmiertelniejszymi wrogami. Ale czy na duchowieństwo nie spada pewna część odpowiedzialności za tę niewiomość?

Kościół, dawniej, szedł ciągle z człowiekiem przez życie realne, aby go oświecać i prowadzić. Można by odtworzyć obyczaje a nawet stroje przeszłości za pomocą kazań kaznodziej średniowiecznych. Św. Bernard, św. Norbert, Vital de Mortain, Raul Ardent, Hugues de Saint Victor, Hildebert lepiej są poinformowani o najmnieszych szczegółach życia XII wieku, niż kronikarz dzisiejszy o tem co się dzieje na bulwarach. Piotr de Limoges miał niezliczone mowy o fryzurach. Stefan de Bourbon mówi jak kronikarz światowy o strojach XIII wieku. Maillard Cléré, Menot i inni podtrzymywali później te tradycje, a Bourdaloue jest równie cenny dla studyów dworu i stolicy za czasów Ludwika XIV, jak La Bruyère i Molière...

Co jest ciekawe, to to, że nigdzie wśród tego marnotrawstwa nie można dostrzedz tej werwy, tej wesołej nieopatrzności o jutro, które pozwala zrozumieć, dla czego pewne epoki rzucały się w objęcia rozkoszy, wołając: Po nas potop! Te szalone wydatki, których nic nie usprawiedliwia, godzą się z afektacją uczuć religijnych, z westchnieniami nad prześladowaniem, z lamentami nad dziećmi pozabawionemi Boga.

Cały ten świat pełen jest chrześcian w rodzaju tych, o których mówi Tertulian: *Plerosque in ventum et si pla-cuerit christianos.*

Ile się kryje boleści po za tym zbytkiem bezrozumnym, głupim zupełnie, to nie do uwierzenia. Flaubert mówił mi pewnego dnia, że to my powinniśmy być lekarzami pewnych chorób moralnych, gdyż tylko my je studyowaliśmy. Jest coś prawdy w tem twierdzeniu. Niepodobna wyobrazić sobie co wie paryżanin, choć tego nie starał się nauczyć. Przypadek co chwilę ukazuje nam odwrotną stronę tego życia tak świetnego na pozór. Jest zresztą w Paryżu pięć lub sześć kobiet trudniących się pożyczaniem pieniędzy, z którymi dość pogadać godzina, aby zgłębić tajemnicę tego towarzystwa. Mężczyźni i kobiety przychodzą do nich, piszą listy pełne niepodobnej do wiary uniżoności, nazywają

mózgów, czego świadectwem jego kapitały, złożone w banku. Skórę z pana zedrze, zrobi z pana w krótkim czasie idyotę. Co też panu przyszło do głowy wchodzić do tego gniazda szerszeni, które się prasą zowie? Czy pan nie ma innego zajęcia?

— Jestem inżynierem i mechanikiem z zawodu—odparł Bolesław, zdumiony tem, co słyszał.

— Masz pan w ręku chleb łatwy i dostatni, a rwiesz się do biedy?—mówił dziennikarz. — Daruj pan, ale takiego szaleństwa nie rozumiem. Gdybym ja był inżynierem, to plułbym na całe dziennikarstwo, i poszedłbym stawiać fabryki, choćby do Chin, byle nie mieszkać w tym niewdzięcznym kraju. Powiadam panu, jest teraz w Warszawie taki ścisk, że kto nie ma protekcji, ten nie może dojść do niczego. Czy się panu zdaje, że tam talent co znaczy? Gdzież tam! Bez stosunków i stosuneczków, bez znajomości i reklamki dobrych koleżków, zmarniałby u nas nawet Szekspir. Patrz pan na mnie! Napisałem kilka tragedji historycznych i społecznych, kilka komedji, cały szereg nowel, a czy słyszał pan co o mnie, o Józefie Bogackim?

— Rzeczywiście, nie przypominam sobie — wyrzekł Bolesław, zdziwiony coraz więcej słowami „współpracownika czasopism“.

— Naturalnie bo czarna intryga różnych klik nie dopuszcza mnie do głosu—wołał Bogacki. — Gdy oddam jakie

lichwiarkę „kochaną przyjaciółką“, nie szczędzą jej słodkich słówek.

Niektóre kobiety z wielkiego świata wynajmują małe mieszkanie, każą do niego przenieść kilka starych sprzętów z zamku, nawet portretów rodzinnych i usiłują je sprzedać. Matka z córką niekiedy w porozumieniu praktykują taki handel. Często króć mąż, rozsądniejszy, pozostaje w zamku, i żyje tam, zdala od *high-life*, między starą kucharką i kilku baryłkami wina. Wzywają go, usiłują skłonić do sprzedania majątku; on przybywa, wzięwszy ze sobą służącą, aby nie osłabił przypadkiem, opiera się, i nazwany potworem nieludzkim, odjeżdża, mówiąc: „Daj pokój, moja droga nie krzycz; będziesz bardzo rada, gdy kiedyś będziesz miała się gdzie schronić.

Widziałem, jak pewna szlachecka rodzina posyłała codziennie do sąsiedniej garkuchni, po jakąś okropną, czarną zupę, trącącą starym tłuszczem. Po pewnym czasie, zadłużyli się za to do pięciuset franków. Matka, właścicielka nazwiska sławnego w dziejach Rewolucji, nazwiska opiewanego przez poetów, nieśmiertelnego bohaterstwa i pobożnością zarazem, zadłużyła się krawcowej na dziesięć tysięcy franków i chodziła je zbierać po całym Paryżu, z temi ruchami rasowego ptaka, nie umiejącego chodzić piechotą. Wśród kłótni i wyrzutów, rosła śliczna dziewczeczka, wytworna i wysmukła. Ulegając wrodzonej dobroci serca, ci biedni ludzie przygarnęli jednego z wygnanych zakonników, i nie zabawniejszego, jak ten kapelan nadworny, błogosławiący obiady brane z garkuchni do których nslugiwała sługa niepłatna.

Niektóre kobiety szukają w truciznach sztucznej radości, szczęścia, które im pozwala przez kilka minut widzieć życie w barwie różowej; to są morfinistki, efemeryczne mieszkanki rajów sztucznego, który tem okropniejszą czyni rzeczywistość.

Niekiedy następuje upadek zupełny. Ta młoda, przeliczna kobieta, zachwycająca aryjka, o dumnym dziewczęcym konturze, którego nie śmiałyś dotknąć nawet zbyt śmiałym spojrzeniem, aby nie naruszyć tego czystego puchu, okrywającego ten dojrzewający owoc,—sprzedaje się jednemu z tych okropnych kosmopolitów, żółciowych, niepachnących, którzy sprzedawali pomarańcze w porcie Tunisu lub Aleksandryi, albo byli kelnerami w jakiejś oberży wiejskiej w Rosyi, jak ów Garfunkel, posiadacz czterdziestu milionów, który zostawił gdzieś żonę a sam żyje tutaj na wielką stopę.

Wszystko kończy się na żydzie. Ujrzymy go później wyzyskującego nędzę ludu za pomocą skupowania kwitów lombardowych, on jest dostarczycielem fundusów lichwiarom, którzy pożyczają pieniądze ludziom z wielkiego świata. On wie dokładnie, co do minuty, jak długo pożyją te biedne żabki, nadymające się aby dorównać wielkim majątkom żydowskim. Gdy im tchu zaczyna brakować, on zjawia się i witany bywa z radością.

dzieło do którego z teatrów, odpowiadają dyrektorowi ni to ni owo i odsyłają mi utwór. Powieści moich nie chcą redaktorzy drukować, od czasu tylko do czasu, kiedy nie mają czego innego, biorą jaki szkic za kilka rubli do „zapchania fejetonu“, jak mówią. Osy! Czy się takie kpy na czem rozumieją? Powiadam panu że to chołota z pod ciemnej gwiazdy, karyerowicze, klikarze i nic więcej. Porządny człowiek nie wytrzyma między tymi idiotami, którzy widzą tylko koniec własnego nosa.

Ten człowiek zdawał się mówić namiętnie, a jednak zachował spokój zewnętrzny. Na jego twarzy nie zagrał ani jeden nerw. Wyrzucał z siebie gwałtowne oskarżenia i wymyślenia z taką wprawą, jak gdyby rozmawiał o pogodzie i słońcu. A nawet, spostrzegłszy, że jego wybuch oddziaływał na słuchacza piorunująco, uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Powiadam panu, że nie warto żyć w tym kraju, nie warto pracować dla społeczeństwa, które nie szanuje swoich talentów.

Splótł ręce na tłustym wysuniętym naprzód brzuchu i bił palcami młynka.

— I cóż, ma pan jeszcze ochotę do dziennikarstwa? — zapytał po chwili bez cienia rozdrażnienia w głosie.

— Nie odstępuję się od zamiaru, z którym się długo nosiło—odpowiedział Bolesław.

Najbardziej może niepokojącym z tego wszystkiego jest upadek kobiety francuzkiej. Stwierdzono, że w epokach upadku kobieta wznosi się w górę, gdy mężczyzna się poniża; dziś dzieje się inaczej. Można się było spodziewać, że po wojnie utworzy się pewne grono francuzek, które będą wywierały wpływ jako żony, jako siostry, jako przyjaciółki, będą usiłowały natchnąć wszystkich uczuciami patriotyzmu, będą posługiwały się swoją pięknosciami, swoim uśmiechem, swoim wdziękiem w celu pokrzepienia serc, obudzenia żądzy szlachetnych czynów. Co za piękne posłannictwo w kraju, w którym kobieta zawsze tak wielką grała rolę! Księżna de Chevreuse zdawała się być chwilowo natchnioną tą szlachetną ambicją; usiłowała ona zjednoczyć wszystkie kobiety w kulcie Joanny d'Arc, uczynić z tej czystej bohaterki symbol podźwignięcia się narodowego; dla tego to dzienniki wolnomularskie i żydowskie tak zawzięcie rzuciły się na nią; głos jej zresztą, pozostał bez echa.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KAMERDYNER MEGO DZIADKA

przez

Wincentego hr. Łosia.

(Dalszy ciąg.)

Wysokie i ogromne pokoje nadawały pewną cechę wspaniałości całemu apartamentowi. Sufity i ściany nie były tknięte od czasów saskich. Stare, dębowe posadzki skrzypiały pod każdym krokiem. Zresztą, wiał tu smutek, właściwy mieszkaniom, pozbawionym (babka moja nie żyła już od dawna) duszy i ręki kobiecej. Jakas cisza i powaga cechowała zarówno ogół, jak i szczegóły.

Służący wrócił i zaczął nakrywać do wieczerzy. Odbywał zaś to wszystko cicho i powoli, jakby widmo jakieś, nie człowiek. Przypatrywałem mu się, wyciągnięty w fotelu, paląc cygaro. Człowiek ten mógł liczyć lat sześćdziesiąt, najwyżej, był dość niski i chudy. Twarz jego ściągnęła i wygolona, miała cerę żółtą i rysy pospolite, choć spokojne, nie odznaczające się żadnym szczegółem charakterystycznym. Wąs czarny, przetkany już srebrnymi nitkami i rzadki, nosił na dół opuszczony. Włosy miał zaczesane, jak lokaje owych czasów czesać je musieli, z rozdziałem z tyłu. Oczy szare wyrażały stale jakieś zakłopotanie i skupienie wewnętrzne, a cała fizjonomia była dziwnie łagodną i spokojną. Ten człowiek zadziwiał bezbarwnością i bezwyrzistością swej twarzy, z której niczego nie można się było domysleć. Wyglądał jakby zasuszony, czy skamieniały. Górną część korpusu trzymał zawsze naprzód pochyloną, powłócząc nogami.

— W takim razie szczęść panu Boże, tylko zabierz się pan sprytnie do rzeczy, zrób pan, jak ja. Puść w trąbę literaturę i publicystykę i weź się odrazu do reporty. Do napisania wiadomości niepotrzeba ani rozumu, ani nauki, ani talentu, są nawet tacy, którzy obywają się bardzo dobrze bez gramatyki, a mimo to są pożądani w każdej gazecie. Publiczność lubi ploteczki, a wydawcy lubią znów ruble publiczności. Dopóki marzyłem o sławie, o działalności twórczej, chodziłem bez butów, a od czasu, kiedy zbieram po mieście błahy wiadomości, lub jeżdżę po kraju oglądać różne dziwne wypadki, jako to: większe pożary, gradobicia, wylewy rzek i t. p. ewenementy, patrz pan, co się stało...

„Współpracownik czasopism“ uderzył się wierzchem dłoni po tłustym brzuchu, i pokazał w szerokim uśmiechu wszystkie zęby.

— Będę musiał na przyszły rok jechać do Marienbada, tak mi reporta służy—dodał, a na twarzy jego rozlał się wyraz zadowolenia.

Kiedy się pociąg zatrzymał w Skierniewicach, schwytał „współpracownik czasopism“ swoją walizkę i zabierał się do wyjścia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Ubrany był czarno, w białym krawacie. Nie słycać go było gdy chodził, a z trudnością go się słycało, gdy mówił.

— Dziwnego sobie dobrał lokaja mój dziadek — pomyślałem, gdyż nie wydał on mi się wcale sympatycznym.

— Pan senator zdrowy? — zapytałem.

— Zdrowy, dzięki Bogu! — odparł nieco głośniejszym głosem i dopełniał dalej nakrycia.

— Czy zwykle chodzi spać tak wcześnie? — zapytałem, spoglądając na zegar, którego wskazówki były dopiero na jedenastej.

— Ej, nie, — odpowiedział sługa powoli, spoglądając także na zegar — tylko dziś pan bardzo zmęczony, bo było posiedzenie.

— Co za posiedzenie?

— Ej... takie... zwyczajne posiedzenie... — mruknął.

Widziałem, że i do rozmowy niema wcale ochoty. Tymczasem stół był nakryty, do którego, odsuwając krzesło, służący wzrokiem mnie zapraszał.

Podziwiałem jego sposób obsługi.

Uprzedzał myśli i zaledwie się rodzące życzenia. Zaledwie spojrział na człowieka swymi szaremi oczkami, a już wiedział, czego mu brakuje i czego pragnie. Gdy nalewał wino, ręka mu tylko drżała, a jakieś przerażenie malowało się na jego twarzy. Robił on smutne wrażenie człowieka, którego zupełnie zabił lokaj. Zdawać się mogło, iż żadna myśl, wychodząca po za ciasny zakres obsługi stołu nie gościła ani na chwilę w jego mózgu. Oczka jego biegały wprawdzie, lecz zdawały się widzieć tylko pewne rzeczy.

Wreszcie po wypiciu kilku kieliszków doskonałego burgunda zapytałem.

— Powiedz mi też mój kochany, czy u mego dziadka służy zawsze kamerdyner Jan, który mnie jeszcze nosił na rękach?

Wargi służącego lekko zadrgały, spojrział na mnie, jakby się chciał uśmiechnąć i odparł cicho.

— Ja nim jestem.

Rzuciłem się ku niemu z radością, ale wnet ostyłem; Jan bowiem wyprostował się stanął w pozycji dobrze wytresowanego lokaja i dodał, ze spokojem wprawdzie, ale z jakimś przygnębionym choć serdecznym wyrazem.

— Pamiętam... i gdyby nie było ciemno na schodach, byłbym poznał panicza, czy można już podać herbatę?

— Proszę! a więc to ty jesteś, ty ten Jan, o którym tak często wspomina moja matka, którego tak lubi i...

Oblicze Jana rozpromieniło się, o ile mogła się rozpromienić sześćdziesięcioletnia maska.

— Jaśnie pani mnie panięta... — mówił z dziwnie dobrym uśmiechem, lecz też z dziwną obojętnością.

— Ale jakże! doskonale! nieraz... prawie codzień ciebie mój stary Janie wspomina, — mówiłem wpatrując się w oblicze kamerdynera, które znów było zakłopotane.

Zmarszczył brwi, a mnie się zdawało, że oczy jego zasły jakby wilgotną łzą.

— Czy można podać jeszcze herbaty? — zapytał.

Zdziecinniał stary, pomyślałem i poprosiłem o drugą filiżankę.

W chwili, gdy ją stawiał przedemną zauważyłem na twarzy Jana jakiś wyraz przestachu.

Postawił i pospiesznym krokiem się oddalił, a gdy wrócił wkrótce, oblicze jego zwykłym jaśniało już spokojem.

— Cóż się stało? — zapytałem.

Kamerdyner spojrział na mnie jakby ze zdziwieniem zem odgadł, iż się coś stało i cicho, jeszcze ciszej niż przedtem, odpowiedział.

— Przywidziało mi się, że pan dzwoni.

Więcej dnia tego z Janem nie mówiłem, gdyż wszystkie moje zapytania zbywał krótkimi odpowiedziami, i przechodził zaraz do porządku dziennego.

Odprowadziwszy mnie do przygotowanego apartamentu i rozebrawszy stanął we drzwiach ukłonił się i rzekł:

— Pan wstaje o ósmej... życzę dobrej nocy jaśnie panu!

— Dobranoc ci mój Janie! — odparłem — a nadal nie mów mi jaśnie panie, boć przecież mnie wychowałeś.

Jan spojrział na mnie ogłupiały i nic nie mówiąc, wysunął się.

Słyszałem jak szedł przez cały szereg pokoi, jego kroki zdradzały tajemnicze skrzypienie posadzki, a gdy i to ucichło, straszna zapanowała w tych komnatach cisza.

Tik... tak... tik... tak... zegara dochodziło z sali, posadzka czasem przysła, jakby kto nastąpił lekko na nią, to znów trzasnął suchy machoń mebla, to zadźwięczał kryształowy żyrandol od dalekiego turkotu powozu po bruku ulicznym.

Zimno mi było w tych komnatach, które mimo portre-

tów przodków, wojewodów i kasztelanów wiszących na ścianach i nie poruszanych od przeszło stu lat, wiały rachunkiem i cyfrą quasi-bankiera.

Usnąłem, a we śnie powracał często ten Jan sztywny i zimny, do którego przecież uśmiechałem się serdecznie. Słyszałem te przytłumione jego kroki i widziałem zakłopotaną, i niczem nie dającą się poruszyć twarz, a pamiętny przysłowia bałem się i jego pana.

Pierwszy raz w życiu oczami własnymi miałem ujrzeć mego dziadka, który w pojęciach moich, wszczepionych przez przywiązaną doń głęboko matkę, był pierwszą osobą w rodzinie.

Ta chwila nadeszła.

Z uderzeniem godziny ósmej wszedł do mnie Jan, stanął w progu i wyszeptał.

— Pan czeka w gabinecie.

Serce mi zakolało silniej i poszedłem za nim. Kamerdyner mimo swych cichostępów szedł prawie na palcach, a ja o ile mogłem starałem się go naśladować.

Jan się obrócił, skłonił i odszedł.

Przedemną na fotelu z nogami wyciągniętymi na taborecie, leżał mój dziadek.

Przywitał mnie zimno, bo tylko podał rękę do pocałowania, mówiąc z pewną podniosłością w głosie:

— Jak się masz kawalerze? wyrosłeś jak sosna i przystojny zrobił się z waćpana młodzieniec, no siadaj i opowiadaj mi o matce.

Tak byłem uderzony niezwykłą postacią mego dziadka, iż przez chwilę zapomniałem języka i usiłowałem tylko zdać sobie sprawę z położenia.

Dziadek mój był mężczyzną ogromnego wzrostu i tej charakterystycznej postawy, jakie u nas coraz są już rzadsze. Mimo swych sześćdziesięciu i kilku lat, wyglądał młodo dzięki głównie swym blond włosom, które gdzieniegdzie tylko siwiały i czerstwej cerze twarzy. Ta twarz imponowała swym wyrazem nadzwyczaj poważnym, dumnym i pięknym. Chuda, koścista i wygolona o przenikliwych siwych oczach, o najregularniejszych i bardzo pięknych rysach, uderzała swą slachetnością.

Włosy dziadek nosił bardzo staranie, według ówczesnej mody zaczesane, a po obu bokach twarzy pozostawiał faworyty krótkie, szerokie i przyszczyżone.

Ubrany był podług ostatniej mody, w jasną aksamitną kamizelkę w szeroką kratę z złotymi guzikami i w granatowy surdut z ogromnymi kłapami. Kołnierz koszuli wywinęty był dostatnio na halsztuku jedwabnym.

Przykuwał mnie i paraliżował. Zaledwie mogłem odpowiadać na jego pytania, tak byłem zdziwiony niepowszednością typu mego dziadka.

Głos jego był szorstki i urywany, zapytania zwięzłe i pływne, gra oczu zdradzała myśl nadzwyczaj bystrą i ruchliwą. Czasem syknął z bólu i chwycił się ze złością za kolano, zdradzając że cierpiał na reumatyzm. Czasem zamyślał się, ale na bardzo krótko. Ręką uderzył w nogę i już był całą myślą w przedmiocie o którym mówił, lub słuchał.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Dwóch Protów i dwie ich przygody.

(BAJKA)

Cobądź czynisz (poucza prawda bardzo stara)
Pamiętaj by rozsądku była w czynie miara;
Jednak dzisiaj zbyt wielu tak chce wiedzieć o tem,
Jak — pan Prot Wyprzódkiewicz z Ociągajłą Protem...
Oto przykład:

Tych Protów dawni przyjaciele,
Niejacy Spółeczniccy — na wsi zamieszkali —
Wydając córkę za mąż, na ślub i wesele,
Przed wszystkimi innymi, najpierw ich wezwali,
Prosząc — jak się to zwykle wśród przyjaciół zdarza —
Ażeby panę młodą wiedli do ołtarza.
„Jadę! — rzekł Wyprzódkiewicz — a ty Protazeńku,
Cny Ociągajło, jedziesz?” — „Co tu gadać wiele!
Jadę.” Więc, ten pospiesznie, tamten pomalenku,
Zaczęli się wybierać spolem na wesele.
Że zaś z miasta, gdzie mieli stałe swe siedlisko,
Do wioski Spółeczniczek było niezbyt blisko,
Więc, po krótkiej naradzie, zgodnie uradzono,
Żelazną się koleją puścić w drogę oną.

I z pewnościąby wszystko poszło im po myśli,
Jeżeliby z rozsądkiem się liczyli ścisliśli.
Pierwszy Prot Wypródkiewicz przeciw niemu zgrzeszył,
I przez zbyteczną krewkość szpetnie się ośmieszył;
Przybył pierwiej na stacyę, o godzinę całą,
Niż należało.

Jednak nie w tem tkwi dowód jego nierozsądku,
Lecz w tem, że, zamiast usiąść cicho gdzieś w zakątku
I czekać aż się ozwie świst lokomotywy,
Począł biegać po stacyi zły i niecierpliw;
Nawymyślawszy wreszcie całej służbie ruchu —
Konduktorom, palaczom — że się nie pośpieszą
I nie wyruszą w drogę z samym nim co duchu...
Splunął, zaklął siaraczyście i poleciał pieszo!
Poleciał; — śmiech po stacyi się rozlega głośnie;
Kto żyw, drwi zeń. Wtem dwonek ozwał się donośnie,
Po pierwszy raz, po drugi i jeszcze po trzeci;
Pociąg rusza... A to co? Któż to za nim leci
I wola: „Stój! Poczekaj! Maszynisto, bracie!
Jam to, Prot Ociągajto! Czyliż mnie nie znacie?!...
Nie dajcież więc tak biec... niechaj sobie siędę,
A do grobu wam wdzięczny za tę grzeczność będę!...“
Brat-maszynista jednak nie a nie nie słyszy,
Więc pan Prot Ociągajto, chociaż ledwie dyszy,
Z twarzą potem oblaną i zawodu łzami,
Na krok się heroiczny w rozpacz zdobywa
I za hak, umieszczony między busforami,
Oburącz — z całej siły, jaką miał — porywa.
Porwał i biegnąc myśli: „Ot, znalazłem radę...
Zatrzymam, w biegu pociąg... wsiądę i pojedę!...
Boć to byłaby zgroza nadto oczywista,
By Prot Ociągajto!... zmógł gbur maszynista!
Tedy...“ Wtem pociąg ruszył całą siłą pary
I — no, i pana Prota genialne zamiary,
Pospołu z ich rodzicem — potłuczonym srodze —
Legły na drodze.

Podobnie też się stało i z Wypródkiewiczem
Który pobiegł, jak żrebiec zatrzaśnięty biczem,
Mniemając że nogami kolej wnet wyprzedzi..
Zmęczył, zziął się; teraz gdzieś przy drodze siedzi
I, pochyliwszy czoło krwawym złane potem,
Myśli jakby do domu dostać się z powrotem...
I państwa Spółecznickich te przygody Protów
Nabawiły zawodów, z niemi zaś kłopotów,
Bo ksiądz czekając z ślubem, już się niecierpliwił,
Panna bładła, pan młody zrywał się i krzywił;
I goście też wesołe potracili miny —
Z Protów przyczyny.
Owóz, same posępne widząc wokół twarze,
A głównie córkę smutną w tak wesołej chwili,
Chcąc czy nie chcąc, musieli domu gospodarze
Poszukać druzbów innych. Co też czynili.

Skończyłem; — lecz ponieważ z bajki każdej wątku
Winien się wprost wysnuwać sens, moralnym zwany,
Do tego więc, co rzekłem zaraz na początku,
Dodam: Lieba wart postęp, jeśli — zwaryowany —
Odwieczne prawa, których świat mocą się rządzi,
Pragnie zmienić dlatego, że się jemu zdaje
Iż zwolna chodzą tylko głupcy i mazgaje,
Nie zaś ludzie stateczni. Niemniej przecież błdzi
Wszelaki, kto zwlekając zawsze, w każdym względzie,
Mówi sobie zazwyczaj: „Jakoś to tam będzie...“
I z rozsądnym postępnem stanąwszy w sprzeczności,
Ucieszonych, w biedzie, ima się ostateczności.
Niechże więc każdy o tem wieaż wiedzieć się stara,
Że cenną wielce rzeczą jest — rozsądku miara.

Woj...ski

NA POSTERUNKU.

Co nam opowiedział w kramiku p. Paprockiego pan Adolf Dygasiński. — Wezwanie do krucjaty przeciw „najbrutalniejszemu organowi zachowawczemu“. — Konserwatyści *pur-sang*. — Parę żywych przykładów. — Dwie racje i kilka wątpliwości. — Sposób na „odebranie głosu nieuctwu“. — Konkurencja naszych pocziwych *Kuryerków* i uczenie pamięci ks. Baudoina. — Dwie uczyty z dwoma klikami. — Spór „najcelniejszych myślicieli“ o „konserwy mięsne“ — czyli prasa nasza na wysokości — zadania!

Możecie Państwo nie słyszeli, a jednak jest w Warszawie „najsakrajniejszy i najbrutalniejszy organ zachowaw-

czy, z którym się nie godzą nawet konserwatyści *pur-sang*“. Jest organ, „który — o zgrozo! — uraga sprawom nauki (naturalnie warszawsko pozytywnej) i filozofii“ — który „prowadzi marną politykę, bez najmniejszego pojęcia, dokąd dąży“, — i który „rozstrzyga (?) kwestye ekonomiczne, nie mając do tego najmniejszego przygotowania“! Jest organ, który „ukazuje ogłowi (w postaci marnego miliona ssących kraj pasorzytów *przyp. fel.*) widmo (no i ktoby pomyślał że nawet statystyka urzędowa jest widmem!), zamiast istotnych faktów“ — i który „rzuca się nieustannie, jak (oj! oj!) tygrys w klatce“!

Ale to wszystko nic! Gorszą stokroć jest rzeczą, że taki organ „znosi się i toleruje z milczeniem“, a ani prasa konserwatywna ani postępowca „niema pisarzy, którzyby mu głos odebrali“. I jeszcze nie koniec, bo oto najstraszniejszym złem jest „terrorizm“ tego „najbrutalniejszego organu zachowawczego“ — terrorizm „ciążący nad opinią naszego dziennikarstwa“!...

To wszystko opowiedział światu — w bibulanym kramiku pana Paprockiego, nazwanym „Życie“ — i stwierdził własnoręcznym podpisem, nie jakiś tuzinkowy pacholek dziennikarski, ale mąż sławy i „nauki“ wielkiej — tak wielkiej, że gołosłowne, paszkwiliście twierdzenie uważa on widocznie za wszystko, a dowody za nic. Wygłosił to, mówiąc krótko, znakomity autor „Nowych tajemnic Warszawy“ — arcydzieła, które, jak wiadomo, sensacyjnością treści prześcignęło wszystkie arcydzieła Bornowskie — nieporównany znawca i psycholog zwierząt, „znany pedagog“ i — protektor szynków (1) — pan Adolf Dygasiński. Wprawdzie, ten sam pan Dygasiński, nie tak dawno jeszcze, uznawał w „Wędrowcu“ p o t r z e b ę tegoż samego organu, przeciw któremu ogłasza krucjaty, aleć to nic nie znaczy; to jest zwykła metoda postępowania naszych pozytywnych „obronców zasad sprawiedliwości“. Kto nie uznaje ich mądrości, ten z zasady (!) musi być idyotą. „Rola“ miała nie szczęście nie pochwalić wspomnionego powyżej arcydzieła pana D..., więc teraz musi być synonimem „nieuctwa“, „idiotyzmu“, „warcholstwa“, ba, nawet namiętności — tygrysi!...

Zresztą, jako człowiek pełen potulności, nie mogę w najnowszym okrzyku pana Dygasińskiego pod tytułem: „Zamilczenie w prasie“, czyli hura na „Rola“! nie uznać pewnych racji. Bo czyż mogą „godzić się“ z „najbrutalniejszym organem zachowawczym“ takie osoby delikatne i tacy „*pur-sang* konserwatyści“, jak na przykład redaktor i wydawca konserwatywno-katolickich „Kłósów“, pan Salomon Lewenthal? Albo czyż może być w zgodzie z brutalną, — „Rola“ taki, dajmy na to, „Tygodnik Ilustrowany“, którego konserwatyzm jest tak uprzejmym i tolerancyjnym, że nie razi go wcale pomieszczenie, na jednych i tych samych szpaltach, wizerunków biskupów i portretów Brandesów, oraz innych żydków, agitatorów bezwyznanowości? Istotnie, tacy „*pur-sang* konserwatyści“, a jest ich przecież bardzo wielu w naszej prasie warszawskiej, nie mogą żyć w jedności z nami i, co prawda, przy całym swem „tygrysiem“ usposobieniu, jesteśmy tak wyrozumiali, że nie mamy o to pretensyi najmniejszej.

Przyznaję tedy panu Dygasińskiemu pod tym względem rację, a w dodatku przyznaję mu i drugą. Ma on słuszną rację, gdy gromi ową „*pur-sang* konserwatywną“ i „*pur-sang* postępową“ prasę, za to, iż niema w gronie swoim pisarzy, którzyby ów „najbrutalniejszy organ“ pozbawili głosu.

W istocie, fakt to dziwny. Jakże to?! Dwadzieścia kilka pism (żydowskich albo judofilskich), setki męzów uczonych, kilkanaście klik zwartych, i to wszystko razem nie jest w stanie „odebrać głosu“ jednemu „nieukowi“? A pfe, moi panowie! Jakże smutne wydajecie sami sobie świadectwo waszego wpływu na publiczność polską? Miałażby ta publiczność czuć w tem waszem wysoce naukowym (!) „traktowaniu spraw kraju“, nędzną błagę, obtudę i niecną spekulację, osłanianą wygodnym parawanem „dobra ogólnego“? Miałażby ona, ta publiczność, nie wierzyć, że gdy jakiś żydowski, albo ex-żydowski kupczyk wydaje jakiś organ publiczny, czyni to dla umiłowanej idei, nie zaś dla — geszefu? Miałażby podejrzewać, że w owej w a s z e j prasie, zamiast szczerzej i gorącej pracy publicystycznej, kwitnie, po największej części, handel pozytywizmem, konserwatywizmem i czem kto chce narazicie? Miałażby ta publiczność przypuszczać, że gdy literat rozdający patenty na uczoność, pisze i wydaje pełne brudu, skandalu powieści *à la Born*, czyni to dla marnego rubla, składanego przez lubujące się w tego rodzaju utworach „młodsze“ i kucharki, nie zaś dla wyższych, szlachetniejszych celów? Ależ, kochany panie

(1) Patrz „Głos“ Nr. 2 z r. 1886.

Dygasiński! macie tyle pism w rękę, tyle głosów do rozporządzenia, tyle głów „tegich“ i „uczonych“! Cóż tedy łatwiejszego, jak przekonać tę jakąś tam publiczność polską (żydowska i bezwyznaniowa jest już przekonaną oddawna) że wszystko co pisze R o l a jest głupstwem, fałszem, oszczerstwem, a co wy mówicie, jest mądrością i prawdą, nie ulegającą zaprzeczeniu? Cóż łatwiejszego, jak, widząc to „nieuctwo“ R o l i, zacytować odnośne artykuły, ustępy, wskazać d o w o d y i, z d o w o d a m i w rękę, raz nareszcie z tem „nieuctwem“ skończyć? Was, powtarzam, jest tylu, a ów „nieuk“ sam. Dalej więc, jeno razem, na niego — „odebrać mu głos“!

Tylko że właśnie z onemi d o w o d a m i bieda, choć i na to macie już sposób wypróbowany. Toż, ilekroć przyćmięte was ktoś w sens podobny do muru i poprosi o fakta, o d o w o d y — odpowiadacie wyrzucaniem śliny, padającej zresztą na wasze własne nosy.

Powiadacie, moi mili panowie, że wam z tem bardzo dobrze, ależ, gdybyście przeczuwali jakie to, w oczach ludzi rozsądnych i uczciwych, jest wysoce komiczne!

O lepsze z tą farsą, nazywaną „umiejętnem i głębszem traktowaniem spraw kraju“, może iść chyba słynna już w Europie całej konkurencja naszych pocziwych Kuryerów. Sądziłem że gdy „Kuryer Codzienny“ podniósł w swych, przez „najcelniejszych myślicieli“ zapelnianych szpaltach, potrzebę wielożeństwa i otaczania opieką „związków nielegalnych“ — W a r s z a w s k i pocnie zaraz dowodzić potrzeby powszechnego celibatu i wyrugowania z miast naszych wszystkich... kamelij nocnych, wszystkich domów... wesołych. Tymczasem stało się inaczej. Konkurencja ujawniła się w sprawach mniej drażliwej natury — i oto właśnie, parę jej, równie świeżych jak interesujących, przykładów:

Kuryer Poranny. Zbliża się 120 rocznica śmierci ks. Baudoina a 200-tna rocznica jego urodzin; należałoby przeto pomyśleć o uczczeniu pamięci tego szlachetnego kapłana-filantropa. Ze swej strony proponujemy zebranie funduszu na odpowiednią tablicę pamiątkową.

Kuryer Codzienny (nie wspominając, naturalnie, nic o projekcie swego współzawodnika): Zbliża się i t. d. Rzućmy myśl wystawienia pomnika, któryby świadczył o czci, jaką społeczeństwo otoczyło pamięć szlachetnego dobroczyńcy opuszczonych dzieci etc.

Kuryer Warszawski (nie mówiąc również wcale o „inicjatywie“ swoich konkurentów): Zbliża się i t. d. Szlachetny filantrop, ks. Bandoin nie myślał o pomnikach i o tym podobnych oznakach czci zewnętrznej. Chcąc uczcić najgodniej i najwłaściwiej jego pamięć, podnosimy projekt ufundowania drugiego szpitala „Dzieciątka Jezus“ i t. d.

Czy myśl sama, dobra i uczciwa w gruncie, nie utonie w boju konkurencyjnym przezacnych, stojących po nad wszelką prywatą i interesem przemysłowo-kupieckim „stróżów i kierowników opinii publicznej“ — nie wiem; ale wiem za to, że gdyby nie ta wysoce budująca... walka, twórca projektu na pomnik Mickiewicza, pan Cypryan Godebski nie miałby wyprawionych sobie w Warszawie aż dwóch... „ucz“ osobnych — i również konkurencyjnych. Gdy bowiem „Kuryerek Codzienny“ ogłosił światu o wyprawieniu przezeń szanownemu laureatowi uczty, „w której przyjmowały udział wszystkie najwybitniejsze osobistości świata literackiego i artystycznego“ etc. — „Warszawski“, rzuciwszy na swojego rywala spojrzenie bazylijska, wydał w tej chwili odezwę do narodu: „Jutro redakcja naszego pisma urządza dla czcigodnego laureata — ucztę, w której uczestniczyć będzie cały świat literacki“ etc.

Tym tedy sposobem, dla jednego laureata odbyły się dwie uczty, z całym warszawskim „światem literackim“, czyli, jak opowiadają złośliwi, z dwiema jego — klikami...

Ale, ale, o małym nie przeoczył faktu doniosłości wielkiej, tak wielkiej, jak wielkimi są cele, pragnienia i ideały większości naszej prasy. Oto dwóch z pomiędzy „najcelniejszych“ jej „myślicieli“ toczy spór zawzięty, — no, zgadnijcie o co? A, o to mianowicie (czytaj „Słowo“ i „Kuryer Codzienny“), kto dał inicjatywę „w sprawie“ wywozu zagranicę... „konserwów mięsnych“: konserwatyci — czy postępowcy?... I niechże mi ktoś powie, że prasa nasza nie stoi na wysokości zadania i że nie powinna ona, idąc za wezwaniem p. Dygasińskiego, odebrać raz nareszcie głosu — tej jakiejś tam „Roli“!

Kamienny.

Z CAŁEGO ŚWIATA.

Przeprosiny za spóźnienie z ważną wiadomością!... — Chrzęszcze i inne owady, jak przybory stroju karnawałowego. — Nowy wynalazek sposobu popierania przemysłu krajowego. — Koncepta francuzkie. — Zbrodnia za filiżankę kawy. — Wieża żelazna, czyli wieża Eiffla w Paryżu. — Prasa wiedeńska i złodziej Zalewski. — I nasza prasa też. — „Gazeta słodziejka“. — Specjalna prasa amerykańska. — Czy nam przydałaby się gazeta „dla nieumiejących czytać“?... — Wymiana zdań w kwestyi bułgarskiej. — „Nord“ brukselski w tym samym przedmiocie. — Korespondent „Standarda“ i konwencya wojskowa Rumunii z ligą. — Optymizm prasy węgierskiej. — Co na to giełdy?

Przepraszam Was moje drogie pani! przepraszam najmocniej i tysiącrotnie — ale ja temu nie winien, tylko te śniegi i zadymki, które nie tylko zmieniły geograficzną fizyognomię Warszawy, nietylko Towarzystwo belgijskie tramwayowe do ostatniej doprowadziły rozpacz, ale popsuły mi wszystkie moje komunikacje z „całym światem“, pozasypywawszy tory moich dróg żelaznych i pozrywawszy druty moich telegrafów. Gdyby nie to, jak mi życie miłe, nie byłbym się spóźnił z wiadomością, że najnowszą toaletową nowością w Paryżu, podczas karnawału, były — żywe chrzęszcze na kwiatkach nieżywych. Załuję tego opóźnienia tem bardziej, że ta moda mogłaby być wcale niekosztowna. Wprawdzie w Paryżu noszono chrzęszcze meksykańskie, ale dla czegoż u nas nie możnaby tego zredukować do chrzęszczów rodzinnych, a w braku ich nawet, do innych owadów, jak stonogów, i t. p. Szczególniej ten ostatni gatunek kwalifikowałby się moim zdaniem do podobnego użytku.

W każdym razie od mody tej więcej zaszczytu przynosi francuzom nowy wynalazek nowego sposobu popierania przemysłu krajowego. Wynalazek ten, mający zresztą zaletę wielkiej prostoty w pomyśle i wykonaniu, składa się z laski, zaopatrzonej na końcu w kawałek gąbki, napojonej płynem gryzącym. Wynalazca lub mąż wtajemniczony w sekret wynalazku, chwytł laskę za koniec nieopatrzoną w gąbkę, i wieczorem, nieznacznie, drugim końcem smaruje po odzieży przechodniów najlepiej ubranych. Naturalnie suknia, tak poczęstowana, niszczeje, a właściciel jej zmuszony jest kupić sobie nową. Czyż można coś prostszego wymyślić i na dowcipniejszej a bezpośredniejszej drodze przemysł krajowy popierać?... U nas tacy smarowacze, mogliby być narażeni na wzajemne smarowanie...

Francuzom widać ta alternatywa nie przychodzi na myśl; — a dziwna rzecz, bo co bądź naród to pełen pomysłów, a właściwie konceptów. Alboż to proszę państwa nie dobry koncept, założyć się z podobnymi sobie... koncepcistami o filiżankę kawy, że się taką a taką dziewczynę wrzuci do Sekwany, no, i dla wygrania tej kawy, wrzucić ją rzeczywiście?

A tak się stało świeżuteńko. Trupa dziewczyny złowiono w rzece i wzięto go za zwłoki samobójczyni; byłoby wszystko razem w Sekwanie utonęło, gdyby jakiegoś przyłapanego złodzieja, nie zdjęły były niespodziewanie skrupuły, nie napadła zbawienna skrucha, która go skłoniła do wyjawienia życzenia zostania policyjnym łapaczem. Na dowód swej bystrości, wykrył on kilka zbrodni, o których policja ani w ząb nie wiedziała, a między innymi wskazał nazwisko sprawcy tego utopienia, oraz innych uczestników tego... żartu towarzyskiego.

Mniej drastycznym ale nie o wiele szczęśliwszym jest koncept owej osławionej żelaznej wieży, zwanej „wieżą Eiffla“, potwora mającego stanąć na wystawę paryżką. Budowę jej doprowadzono do pierwszego pietra, to jest do wysokości 100 metrów; całość budowy ma kosztować 7—8 milionów franków... I co za pożytek te wyrzucone miliony przyniosą? Chyba ten, że biedna klasa pracująca coś przytem zarobi, bo innego żadnego!... Ależ te miliony można było zużytkować produkcyjnie, a tem samem korzyści z nich dla społeczeństwa zdwoić, co najmniej, niż dźwigając za nie olbrzymie straszdyło na wróble, które ani estetyka ani geszeftsmiana zadowolnić nie jest w stanie.

Nie powiem żeby mi się podobał także ten dziennik wiedeński, w jakim traktują zbrodnie, a mianowicie „zbrodnie sławne“. Przed kilkoma dniami cała prawie prasa wiedeńska opisywała przewiezienie „sławnego na obu półkulach, defraudanta Zalewskiego“ do więzienia w Stein, podczas którego tenże osobnik znajdował się w wymienionym humorze... Już sama ta insynuacja, że kradnąc można się dobić sławy na obu półkulach, nie może zbyt umoralniająco działać na czytające masy, a coż dopiero powiedzieć o utwierdzaniu ich w przekonaniu, że dopuściwszy się ta-

kiego jak Zalewski złodziejstwa, można być w wysmienitym humorze... Nie dotykałbym tego przedmiotu, bo mi znów moralność wiedeńczyków tak bardzo nie leży na sercu, a zresztą wiem, że choćbym się na głowie postawił, to poziomu jej nie podniosę. — ale idźcie mi o to, że ta kryminalistyczna reklama, to interesowanie się zbrodnią, to romanowanie z nią niejako, z wielką szkodą dla wielu sfer społecznych, poczyna się zagnieżdzać i w naszej prasie... My zawsze zaczynamy jeść rybę z końca, z którego cuchnie.

Już wolę taką jawną bezczelność, która szczerością swoją prawie rozbraja, jak np. amerykańska „Gazeta powszechna dla złodziejów“. Taką gazetę weźmie przynajmniej w rękę tylko specjalista, podczas gdy dziennik ogólny zatrzyma każdego, kto się w nim zdrową strawę znaleźć spodziewa.

Zresztą specjalność to już rzecz amerykańska i prasy amerykańskiej w szczególności; tam są osobne, specjalne dzienniki dla — zakochanych bez wzajemności, dla — stróżów nocnych, dla — handlarzy węzami, a nawet dla — nie umiejących czytać. No, już tego ostatniego specyjału, czy specjalności nie życzyłbym naszej prasie. Cóżby to było dopiero, gdyby powstały dzienniki, któreby nieumiejący czytać, czytać potrafili...

Wymiana zdań między gabinetami w sprawie bułgarskiej rozpoczęła się nareszcie; ale podczas gdy niektóre organa prasy widzą w tem co najmniej początek końca, brukselski „Nord“ niewiele sobie z tych pertraktacji zdaje rokować nadziei, twierdząc, że takowym nawet charakteru układów przypisać nie można. W drugim artykule tenże organ twierdzi, że zapatrywania polityki ruskiej na tę kwestyę są znane: Rossya nie żąda protektoryatu nad Bułgarią, tylko przywrócenia w niej traktatu berlińskiego. Jeżeli więc liga tak zwana pokojowa zgadza się na usunięcie księcia Koburskiego i zaprowadzenie w Bułgarii legalnego porządku, niech się przyłączy do żądanych przez Rossyę kroków zbiorowych. Dopóki to nie nastąpi, Rossya w przyszłości potrójnem upatrywać musi tylko przeszkodę do załatwienia kwestyi bułgarskiej i oglądać się za przeciwwagą. „Nord“ wątpi żeby wpływ mowy kanclerza niemieckiego odpowiedział jego oczekiwaniom: pomimo bowiem dobrego wrażenia jakie one sprawiły w Petersburgu, wymagają tam czegoś więcej niż słów.

„Standardowi“ angielskiemu donoszą z Wiednia, że rokowania mające na celu przeprowadzenie do skutku francuzko-ruskiego przymierza zaszły dalej, aniżeli powszechnie przypuszczają; — z drugiej zaś strony rozeszła się wiadomość, że Rumunia zawarła konwencję wojskową z pokojową ligą.

Tylko węgierskie dzienniki zapatrują się dotąd optymistycznie na obecne położenie, twierdząc, że się w niczem nie pogorszyło, — ale mało jakoś znajdują wiary, szczególnie na giełdach, które gwałtownym spadkiem niektórych walorów znaczą silne swoje zaniepokojenie.

E. Jerzyna.

KRONIKA BIEŻĄCA

Krajowa i Zagraniczna.

W sprawie długów właścicieli ziemskich. P. Henryk Wiercieński, współpracownik naszego pisma, nadesłał warszawskiemu Oddziałowi Towarzystwa popierania przemysłu i handlu wniosek w sprawie spłacenia przez skarb państwa długów właścicieli ziemskich, za pośrednictwem biletów bankowych, nieoprocentowanych. Zdaniem pana Wiercieńskiego, bank państwa, przy rozszerzeniu zakresu swojej działalności, mógłby udzielać pożyczki na gospodarstwa wiejskie, na gwarancję wartości tychże gospodarstw; treść zaś swego wniosku opiera na następujących postulatach:

1) Ażeby bank państwa podjął operację spłacenia wierzycieli ziemskich, przynajmniej do wysokości $\frac{2}{3}$ wartości danych gospodarstw rolnych; 2) ażeby do spłaty mogły być użyte bilety bankowe nieoprocentowane; 3) ażeby właściciele ziemscy opłacali skarbowi 1% za udzieloną im pomoc, a obok tego 1 do 2% rocznie za częściową amortyzację.

Wniosek ten ma być wkrótce przedmiotem dyskusyi w warszawskim oddziale Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.

Okólnik ks. Arcybiskupa Dindera. Dzienniki nasze podały niedawno treść okólnika J. E. Arcybiskupa ks. Dindera do prefektów gimnazjalnych w W. Ks. Poznańskim. Okólnik, nakazując przygotowywanie uczniów klas niższych i średnich do spowiedzi

i Komunii Ś-taj, nie po niemiecku lecz po polsku, poleca zarazem, aby katechizm dycecyjalny znajdował się w każdym polskim domu i aby rodzice oraz duchowni naucaży z niego młode pokolenie z największą gorliwością. Przygotowywanie do Św. Sakramentów ma trwać całe dwa lata, aby uczeń zasady wiary i moralności, wykładane w szkole po niemiecku, mógł pojąć należycie i wpoić w młodocianą swą duszę, przy pomocy mowy ojczystej.

Wspomnienie. W gub. Podolskiej, w Płoskirowie, zmarł w dniu 26 Stycznia r. b. człowiek, którego życie i działalność były wprawdzie nie rozgłoszone, ale tak pełne miłości i cnoty prawdziwie chrześcijańskiej, że w tych zwłaszcza czasach, w których o cnotę taką coraz trudniej — niestety, godziłoby się postawić je za wzór do naśladowania. Człowiekiem tym był ś. p. Kazimierz hr. Dunin. Syn żołnierza z czasów Napoleona, Karola hr. Dunina, b. Pułkownika b. wojsk polskich, odziedziczył po ojcu nieskażoną prawdość charakteru i szlachetność uczuć. „Prawdą a pracą“, oto hasło, przy którym ś. p. Kazimierz wytrwał do końca prawdziwie pożytecznego żywota. Starzec 73-letni, zachował do ostatka młodzieńczy zapał do wszystkiego, co piękne, zacne i szlachetne. Sam pełen wiary i uczuć głęboko religijnych, umiał je wpajać w młode serca, a niejeden umysł obłąkany zasadami nowoczesnej pseudo-filozofii jemu zawdzięcza zwrócenie na drogę prawdy i miłości Bożej. Nietylko dla rodziny najbliższej, ale dla wszystkich braci w Chrystusie pełen poświęcenia, nie odmawiał nigdy i nikomu pomocy bratniej, dzieląc się, w potrzebie, ostatnim bodaj groszem. Był też zmarły jednym z najprawdziwszych przyjaciół naszego pisma, a słowa sympatyj, otuchy i zachęty, jakich nam, w pierwszych zwłaszcza początkach naszego wydawnictwa, nie szczędził, pozostaną dla nas na zawsze jedną z najmiłszych nam pamiątek.

Cześć pamięci zacnego człowieka i prawego obywatela!

Objaśnienie. Z Mińska gub., od jednego z życzliwych czytelników naszych, otrzymujemy list następujący:

„Szanowny Redaktorze! W Nr-ze 19 „Wieku“ z r. b., w korespondencji z Mińska gub., czytaliśmy wiadomość o tutejszej szkole rzemieślniczej żydowskiej, w której jakoby: „kształci się w naukach i rzemiosłach, i to pod kierunkiem najlepszych w mieście nauczycieli i majstrów, po kilkuset uczniów rocznie“. „Najlepsi uczniowie — według tej samej wiadomości — po ukończeniu szkoły, wysyłani bywają do Paryża, a wreszcie w szkole kształci się także kilkudziesięciu chrześcijan“.

Otóż, wiadomość ta wymaga pewnego sprostowania:

W roku 1883, przy ofiarności tutejszych żydów bogatych, została założona, dla biednych chłopców żydowskich, szkoła elementarna z oddziałem rzemieślniczym. Taki też jest tytuł tej szkoły. Według zaś sprawozdania urzędowego, w szkole tej są 3 oddziały, w których uczą: religii (rabin H a n e l e s), początków języka ruskiego, arytmetyki i kaligrafii. W 2-gim i 3-cim oddziale uczą, oprócz tego, stolarstwa i ślusarstwa p. p. Epsztajn i Segalowicz, obaj starozakonni i nie posiadający swoich własnych warsztatów. Rzemiosł tych uczy się obecnie nie kilkuset, lecz 89 chłopców żydowskich. Żadnego ucznia szkoła nie miała nigdy zamiaru wysłać do Paryża dla dalszego kształcenia się, i na koniec, w szkole tej, jako wyłącznie przeznaczonych dla chłopców żydowskich, nie kształcił się ani jeden chrześcijanin.

Racz, Szanowny Redaktorze, pomieścić sprostowanie niniejsze, a zarazem przyjąć wyrazy głębokiego szacunku i poważania.

A. W.“

Nowości wydawnicze. Pracowity, zacyjny i pragnący szczerze dobra maluczkich, Ks. Rafał Kapucyn wydał znowu godną polecenia książeczkę p. t. „Jak się pani Jędrzejowa spowiadała a jak się spowiadać potrzeba“.

Praca krytyczna pana Teodora Jeske-Choińskiego, wyszła świeżo w osobnej obitce.

Z prasy. „Kuryer Warszawski“ w swym numerze „postnym“ (46), pomieścił między innymi artykuł (!) pani L u c y n y Ćwierciakiewiczowej, p. t. „Kuchnia postna“. Nie mamy, naturalnie, nie przeciwko temu, aby pani Ćwierciakiewiczowa ogłaszała sobie swoje.. mądrości kulinarne gdzie chce i w jakiej chce formie, reklamując przy tej sposobności swe „dzieła“ bodajby najbardziej po... amerykańsku; ale wyszydzanie tych, którzy „bez zastrzeżeń poddają się dobrowolnie nakazanej sobie k a t u s z y“ — czyli postowi, jak również lekceważące odzywianie się o „tak zwanych dyspensach“ i t. p., nie powinno być chyba jej — przynajmniej udziałem. Toż przecie mamy już od tego panie Orzeszkowe, Konopnickie i inne ciocie warszawskiego pozytywizmu! Zresztą, zdaje nam się, iż kobiecie w tak późnej już starości (przepraszamy najmocniej że dotykamy strony najdrażliwszej może) nie należałoby w żadnym razie traktować lekkomyślnie tego co szanuje ogół — i wśród rzeszy czytelników Kuryerkowych szczerzyć pojęć zanadto wolnomyślnych. Tak, tak, proszę pani, to w żadnym razie „nie wypada“...

Odczyty. Zapowiedziane prelekcye na rzecz Osad rolnych już się rozpoczęły. Pierwsze dwa odczyty p. t. „Hypnotyzm w na-

uce a w praktyce", wygłosił Dr. Fabian. Prelekcya, w drugiej zwłaszcza części, miała przeważnie charakter polemiczny.

Z teatru i muzyki. W teatrze Rozmaitości ma być przedstawioną w tych dniach komedia p. Przybylskiego p. t. „Państwo Wackowie“

W teatrze Małym rozpoczęto próby z dwuaktowej farsy p. Franciszka Mielnickiego p. t. „Nowy Tersytes“.

W ubiegłą Niedzielę, odbył się z powodzeniem koncert na korzyść nieznających studentów warszawskiej szkoły weterynaryjnej.

Termin otwarcia wystawy muzycznej nie został jeszcze stanowczo oznaczony; w każdym razie, piękne to i szlachetne dzieło hr. Platera, głównego, jak wiadomo, inicjatora wystawy, obudza już obecnie nader żywe i szerokie zainteresowanie.

Wiadomości osobiste. Czcigodny i zasłużony kapłan, ks. Michał Nowodworski, dr. Śtej Teologii, redaktor „Encyklopedyi Kościelnej“, założyciel i główny współpracownik „Przeglądu Katolickiego“, zatwierdzonym został przez rząd na stanowisku kownika kapituły warszawskiej.

Zmarli: Ś. p. Ks. Bronisław Ruszkowski, proboszcz parafii Kobile, kapłan powszechnie szanowany, prawdziwy ojciec i opiekun licznych swych parafian i serdecznie ukochany przez nich — zm. w Nowo-Radomsku.

Ś. p. Władysław Plocer, znany muzyk, pianista, rokujący niegdyś świetne nadzieje — zm. w Warszawie, przeżywszy za ledwie 36 lat.

SPRAWOZDANIE HANDLOWE.

23 Lutego 1887 r.

Z rynków zbożowych zagranicznych nie nadeszły żadne nowe wiadomości. Wszystko jest tak jak było w poprzednim tygodniu sprawozdawczym, a to samo powiedzieć można i o rynkach warszawskich.

Na placu Witkowskiego płacono za pszenicę wyborową 6.60—6.80, średnią 6.20—6.40, ordynaryjną 5.60—5.70. Żyto wyborowe płacono 3.70—3.90, średnie 3.50—3.60. Owies wyborowy sprzedawano po 2.60—2.80, średni 2.15—2.30. Groch dobry, do gotowania, płacono po 4.30—4.80

Na stacyi Praga płacono pszenicę wyborową 112—114, średnią 105—106, ordynaryjną 98—100 kop. za pud. Żyto wyborowe 64—66, średnie 62—63. Owies wyborowy 69—76, średni 62—68, ordynaryjny 56—59 kop. za pud.

W handlu okowitą usposobienie i tym razem nie uległo zmianie. Ceny pozostają ciągle na jednym i tym samym, dosyć niskim poziomie. W Hamburgu cena regulacyjna wynosiła, w tych dniach, 22 m. za 100 litrów; a na rynku warszawskim płacono za garniec 2.67—2.69 w sprzedaży hurtowej.

Dostawa wołów stepowych na targ pragski jak zwykle w czasie postu uległa zmniejszeniu; ceny jednak pozostały te same t. j. stosunkowo dobre.

Na rynkach żywnościowych nabiał ciągle jeszcze dość drogi, jakkolwiek ceny w ostatnich dniach uległy dość wyraźnej niższe. Funt masła bez soli płaci się 40 do 55 kop.

Odpowiedzi Redakcyi.

Sz. ks. J. Galicz w Kluszcach.—Odpowiemy listem. Ogłoszenia damy w przyszłym numerze.

P. Włodzimierz Zaleski w Pierzchni.—Pan Henryk Wiercieński mieszka w Nałęczowie (gub. Lubelska); tam też jest i stacya pocztowa.

Sz. ks. J. Kozłowski w Mstowie.—Na propozycję Sz. Ks. Dobrodzieja zgadzamy się najchętniej, — dziękując za życzliwość.

Panu Szob. w Warsz.—Uwaga słuszna; skorzystamy z niej przy pierwszej sposobności.

P. Lawdański w Op. gub. Podol.—Żądane książki wysyłamy; oprawa zajęła nieco czasu. Do dyspozycyi sz. pana po policzeniu już przesyłki pocztowej pozostaje jeszcze kop. 20.

B. v. Romer w Koszed.—Numera brakujące wysyłamy najchętniej; rzecz drobna—nie nam się nie należy.

P. Michał Aleksandrowicz w Wilnie.—Istotnie zaszła pomyłka, obecnie już sprostowana.

Pani O. P. w Warsz.—Wybacz nam sz. pani, ale z inicjalami tylko—korespondencji prywatnej prowadzić nie możemy.

Dr. J. w Warsz.—Mielśmy sposobność przekonać się dowodnie że wynalazca „Excicatora“ inż. p. G. Ritter jest — protestantem.

P. Adamowi Wiślickiemu.—Przyczepka godna, jak powiada Kuryer Warsz. „fachowego szubrawca“. Jeżeli wszakże to wszystko co pan o owym p. Beterzeze opowiadasz jest prawdą, to musiał on chyba wprost z pańskiego organu czerpać zasady moralności niezależnej. W każdym razie radzilibyśmy waści w tego rodzaju wystąpieniach być nieco ostrożniejszym — pomnąc na przypowieść o... dzbanie i—uchu.

Panu Al. Wr. w Warsz.—Za wiadomość o zbieranych niegdyś przez wiadomego jegomościa „ofiarach na hercegowinów“, dziękujemy uprzejmie.

REKLAMY.

CZŁOWIEK MŁODY, UCZCIWY I ZDOLNY,

poszukuje miejsca woźnego w biurze lub kantorze. Może przedstawić jak najlepsze rekomendacje osób znanych i wiarygodnych.

Wiadomość w red. Roli (Nowy-Swiat Nr. 4). (4-1)

—Zwracamy uwagę czytelników na świadectwo wydane przez Pracownię Chemiczną Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie za № 1179, firmie „W. Kotecki“ (Leszno Nr. 14 i Bednarska Nr. 12) którego tekst dosłowny poniżej zamieszczamy:

Zawiadujący Pracownią Chemiczną Muzeum Przemysłu i Rolnictwa.

Do Wielmożnego Pana W. Koteckiego—w miejscu.

Niniejszym zaświadczam, że przesłane mi w dniu 26 Października r. b., dwa okazy win stołowych, zaopatrzonych cechami firmy, W. Kotecki — Warszawa, i napisami „Węgierskie“ i „Krymskie“, poddane rozbirowi chemicznemu, celem udeterminowania stopnia ich czystości, okazały się ze względu na jakość i ilość ważniejszych składników chemicznych, winami naturalnymi, normalnymi, to jest wolnymi od dodatków mających na celu sztuczne podniesienie ich smaku lub trwałości.

Warszawa, d. 15 Listopada 1887 r., Krakowskie-Przedmieście, 66.—Nr. 1179.

(6—5) (podp.) N. Milicer,
Magister Nauk Przyrodzonych.

Biuro Komisowo-Nauczycielskie A. Lewińskiego,

Zielna Nr. 42 róg Próznej, z osobnym oddziałem Stręczeń mając do lokacyi: Nauczycieli, Nauczycielki, Bony różnego wykształcenia i narodowości, Rządców z kaucjami i bez, Ekonomów, Pisarzy, Gorzelanych, Mechaników, Techników, Ogrodników, Gospodynie, Panny służące i t. d., poleca swoje pożyteczne usługi, oparte na dobrem zrozumieniu własnego interesu, na dążności wyrobienia renomy firmy niesieniem usług jakich J. W. i W. W. Chlebobawcy spodziewać się mają prawo od Instytucyi rządzącej się zasadami. (26—21)

OGŁOSZENIA.

Główny Skład Dywanów

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki Kaldry, Dery i t. p. JUTY i WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie“. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych 52-8
i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży

I. Jodłowskiego

Białańska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137

(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i rolniczych—oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacye po cenach najumiarkowańszych.

PACHT Z 50 KRÓW

do wypuszczenia od Ś-go Jana r. b. Pacht ten wypuszczonym być może tylko chrześcianinowi na bardzo dogodnych warunkach. Wiadomość u właściciela, w Domaszowie przez Sobolew st. kolei Nadwiślańskiej. (6--6)

Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885.
DYPLOM UZNANIA.

ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU.

MAGAZYN MEBLI

ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, Tłomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowania pokojów jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapiecerskie i dekoracye, podług najwiewszych żurnali (13-8)

Koronki, Żaboty, Wstążki, Garniowania do Sukien, Woalki, Rękawiczki jedwabne, Kołnierzyki i Mankiety damskie i dziecięce, Chustki płócienne batystowa, koronkowe, do nosa. Pończochy damskie i dziecięce, Kamusze wełniane, Halki kortowe i trykotowe, — poleca w wielkim wyborze po cenach niskich!!!

MAGAZYN BIELIZNY MEZKIEJ

A. KIERST I S-ka

5. Bielańska 5, — vis-a-vis Daniłowiczowskiej.

Wszelkie zamówienia z prowincyi skuteczniamy odwrotną pocztą, franco. Ceny niskie.

26—22

Najwyżej Zatwierdzone
Towarzystwo Wzajemnego Ubezpieczenia na Życie
„NEW-YORK“

ZAŁOŻONE W 1845 ROKU.

Warunki Ubezpieczenia i Kontroli zostały zatwierdzone przez P. Ministra Spraw Wewnętrznych 21 Października 1887 r. Kapitał gwarancyjny, najzupełniej zrealizowany, wynosił w dniu 1-go Stycznia 1887 r. 161,100,224 rubli. Towarzystwo złożyło do Banku Państwa 500,000 rubli tytułem kaucyi, (w listach pożyczki wewnętrznej z roku 1837 wartości nominalnej 600,000 rubli). Osobny, prawem przepisany, fundusz rezerwowy składa się do Banku Państwa, jako gwarancya Ubezpieczeń w Cesarstwie i Królestwie zawartych.

Czynności Towarzystwa i unormowanie funduszu rezerwowego, podlegają czynnej kontroli Rządu Ruskiego.

Wszelkich objaśnień udziela Biuro Towarzystwa w Warszawie, Plac Saski Nr. 5.

DYREKTOR

na Rosyę Południową i Zachodnią

L. Werner.

oraz na Królestwo Polskie:

Bankierzy w Warszawie.

Bank Handlowy w Warszawie.

A. Rawicz & Comp.

(0-3)

HURTOWY SKŁAD WIN

Zagranicznych i Russkich

Schobera i Zawadzkiego

W WARSZAWIE

przy ulicy Senatorskiej Nr. 24.

Ma honor podać do wiadomości Szanownego Duchowieństwa, że prócz rekomendowanego

Wina Krymskiego

z 1884 r. do Mszy S-tej, na 1 rub. 80 kop. garniec, na 40 kop. butelkę, jakie to wino zyskuje coraz większe uznanie, czego dowodem zwiększające się zlecenia ze wszystkich prawie dycezyj, na zasadzie poczynionych prób,—poleca

i Wina Węgierskie

na ten sam cel z najzupełniejszą gwarancją czystości na 125 rubli beczkę, garniec 4 ruble, butelkę 85 kop.;

Dla Gospód

Wino Krymskie smaczne z 1886 r., polecamy na 1 rub. 20 kop. garniec, butelkę 30 kop.

Oprócz wymienionych Win codziennego niemal użycia, posiadamy i w wyższych gatunkach jak również Wina Bordoskie, Burgońskie, Hiszpańskie, Reńskie, Szampańskie tak francuzkie jak ruskie, oraz Porter i Piwo ang.:Rumy, Cognaki lecznicze, Likier Benedyktyński i inne.

Cenniki na żądanie przesyłamy. (6—1)

Magle pokojowe najnowszego systemu; można nabyć takowe i zarazem na miejscu wypróbować ich praktyczność, — jak również Maszynki nowe do kapslowania butelek bardzo łatwym sposobem. — Tanie, najnowszego systemu i najpraktyczniejsze Maszynki do masła różnych wielkości. — Najnowsze maszynki do siekania mięsa i wyżyłowania. — Taboreciki i Stoliki składane i t. p. różne wyroby, stosowne i praktyczne do gospodarstwa i użytku domowego.

Posiada na składzie.

[Redacted] pokojowych

J. KUCHTY

Piękna Nr. 30. (12—2)

Cenniki wysyłają się na żądanie gratis.

Dep. Przem. i Hadn., St.-Petersb., N. 1360.
Wiedeń Nr. 4932—Budapeszt Nr. 1528.

Broszurka
bezpłatnie

Gwarancya
15-letnia



„EXSICCATOR“

Osusza wilgoć w domach, zabezpiecza drzewo od GNICIA i Grzybka. Dezynfektuje. Zastępuje OLEJNĄ FARBĘ.

52-11

Inżynier Ritter, Królewska 39.

FABRYKA i MAGAZYN

**WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY
KONNEJ JAZDY I POLOWANIA**

T. L. BREYMEYER, — Warszawa
Królewska Nr. 1, róg Krakows.-Przedm.

Kufry — Walizy — Torby — Sakwojaze

Płaszcz gumowe — Buty filcowe

Kurtki — Płaszcz i Spodnie skórzane

Torby myśliwskie — Futerały na broń

Portmonetki — Pugilaresy — Portcelgary — Woreczki i t. p.

Wszelkie reperacye uskuteczniają się szybko i dobrze.

52—20

KRÓLOWIE POLSCY

dla młodzieży, poczet z 43-ch portretów litogr. podług rysunków T. Malleszewskiego, z tekstem, do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi „Roli“, w ozdobnej oprawie lub na wielkim arkuszu, cały poczet rs. 2 kop. 50. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolfa.

Polski Kantor Bankierski

RADZISZEWSKI i S-ka (52-7)

WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

Specjalna Fabryka i Magazyn
BIELIZNY

L. GAŁKOWSKIEGO

w Warszawie,
Marszałkowska Nr. 133,
róg Ś-to Krzyckiej.

Poleca — w wielkim wyborze :

Koszule męskie, odznaczające się najlepszym krojem i wykończeniem, Kołnierzyki i Mankiety w najnowszych fasonach. Kałesony, Skarpetki i Szelki, Wielki wybór Krawatów, Szpilek i Spinek najmodniejszych. Chustki na szyję jedwabne i półjedwabne, oraz Chustki do nosa, zawsze w wielkim wyborze. Wyroby trykotowe wełniane i bawełniane. Kaftaniki siatkowe higieniczne, oraz wyroby wełniane D-ra Jaegera. Wszelkie zamówienia wykończają się starannie i spieszenie, po cenach stałych, możliwie niskich. p. p. handlującym ustępuje się rabat.

„Najlepszy król Koszul męskich.“

52—24

Główny Skład Wyrobów Tabaczych

Hurtowy i Detaliczny

PAWŁA KOŁODZIEJSKIEGO I S-KI

przy ulicy Nowy-Świat Nr. 51 (róg Wareckiej).

Poleca :
wielki wybór cygar, tyto-
nini i papierosów, z wszyst-
kich fabryk ruskich i
miejscowych, oraz gily
własnej fabryki, z pra-
wdziwej francuskiej bibul-
ki „ABADIE“.
Dla PP. Handlujących
odstępuje towar na
najkorzystniejszych
warunkach.
Wszelkie objaśnienia
na żądanie franco.
(10-3)

Fabryka wyrobów Platerowanych i Bronzowych

egzystująca od roku 1856

BRACI HENNEBERG

poleca wielki wybór tak przedmiotów **PLATEROWANYCH**, jak i **BRONZOWYCH**, złożonych i ciemnych. — Zaznaczyć przytem winniśmy, iż wobec zagranicznych bronzów, nasze wszelką konkurencyę wytrzymują, są bowiem o wiele solidniej wykończone, a ceny stosunkowo niższe. — Upraszając o łaskawe zwrócenie na to uwagi, polecamy

Magazyny :

CENY MOŻLIWIE NIZKIE.

Cenniki na żądanie wysyłają się franco.

SKŁAD MEBLI 13-12

MAJSTRÓW STOLARSKICH

róg Marszałkowskiej i Zielonego Placu,
Nr. 60 (150 nowy), 1-sze piętro.

Pragnąc dostarczyć JJWW. i WW. Panom mebli dobrych, produkowanych we własnych warsztatach, poleca takowe od najskromniejszych do wykwintnych, przyjmuje również zamówienia na roboty tapicersko-dekoracyjne, gwarantując za dobroć towaru i roboty.



FABRYKA I SKŁAD

Narzędzi Chirurgicznych i ostrych,
stalowych, oraz Bandaży.

F. Balukiewicza

W WARSZAWIE

Bieleńska Nr. 9, Hotel Paryżki.

26—20

SKŁAD PAPIERU materiały piśmienne i ry-
sunkowe, **Drukarnia**
pośpieszna, oraz **Kantor Gazet** i pism periodycznych
wychodzących w Warszawie, z Ekspedycją tychże na prowincję

St. Winiarskiego

w WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT Nr 62.
(Marki pocztowe za Gazety, przyjmują się jako gotowizna.)

Krawiec

(52—3)

M. CHMURCZYŃSKI

w WARSZAWIE

róg Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej Nr. 94 nowy.
na dole w podwórzu po prawej stronie.

Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakresie krawiectwa wchodzące, oraz wykonywa wszelkie odnówki jesienne i zimowe palta, sakpalta, surduty, tużurki, żakiety, marynarki, spodnie, kamizelki i t. p., i takowe oczyszcza z plam i brudu, obeżywa taśmą, podszywa podszewki, nieuje, reperuje, zmienia aksamitne kołnierze, guziki i odprasowya, jak najakuratniej, po cenach bardzo niskich.

KEFIR LECZNICZY

Specjalny Zakład prawdziwego Kefiru leczniczego K. Sigaliny z Kaukazu, oprócz wielu medali za Kefir i Grzybki, nagrodzony został pochwałą I-ej klasy na Wystawie Hygienicznej w Warszawie w 1887 r., obecnie zaś medalem srebrnym na Wystawie Wszechrosyjskiej Wiejsko-Gospodarskiej w Charkowie.

Zakład mieści się przy ulicy Królewskiej № 31 nowy (między ulicą Marszałkowską, a skwerem kościoła ewangelickiego). (3—3)

SKŁAD ZEGARKÓW

S. POPIELA, (52-11)

Ulica Elektoralna Nr. 5.

FABRYKA I MAGAZYN

WYROBÓW JUBILERSKICH
W. MOCZYDŁOWSKIEGO

przy ulicy Nowo-Senatorskiej pod Nr. 3, obok Hotelu
Rzymskiego, (12—11)

poleca :

znaczny wybór gotowej biżuteryi z własnej fabryki, co daje łatwość do zmiany starej biżuteryi na nową, a jako z pierwszej ręki znacznie taniej. Obstalunki i reperacje po cenach niskich, najakuratniej się wykończają.

Treść numeru : Zasadowicze, (album skiców odręcznych) skreślonych przez W. St. Orczyca IV. — Listy z Galicyi — Francya żydyziła (d. c.) — Kamerdyner mego dziadka, przez Wincentego hr. Łosia (d. c.). — Dwóch Protów i dwie ich przygody (bajka) przez Woj...skiego. — Na posterunku, feljton Kamiennego. — Z całego świata. — Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna. — Sprawozdanie handlowe. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia. — W odcinku : „Narwańcy“, powieść przez T. Jeske-Chońskiego (d. c.).

Redaktor i Wydawca **Jan Jelenki.** Дозволено Цензурою. — Варшава 11 Февраля 1887 г. (Drukiem „WIEKU“ Nowy-Świat N-r. 61)